

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

### COLE

Kiedy to wszystko zaczynałem – a mówiąc „wszystko”, mam na myśli życie – samobójstwo wydawało mi się żartem. „Jeśli muszę jechać z tobą w tym samochodzie, podetnę sobie żyły nożem do masła”. Było to równie realne co jednoróżec. Nie, jeszcze mniej realne. Było to równie realne co eksplozje wokół kojota z kreskówki. Każdego dnia setki tysięcy ludzi grożą, że się zabiją; rozśmieszają tym setki tysięcy innych ludzi, bo takie deklaracje, podobnie jak kreskówki, są zabawne i bez znaczenia. Znikają, jeszcze zanim zdąży się włączyć telewizor.

Potem samobójstwo traktowałem jak chorobę. Coś, co łapią inni ludzie, jeśli żyją w wystarczająco brudnym miejscu, żeby się zarazić. „To nie była przyjemna konwersacja przy stole, Cole”. I podobnie jak grypa, zabijało tylko najłabszych. Jeśli byłeś podatny, nie mówiłeś o tym, żeby nie zniechęcać do siebie ludzi.

Dopiero w liceum samobójstwo stało się dla mnie możliwością. Nie taką jak: „Możliwe, że ściągnę sobie ten album, bo gitara brzmi tam tak genialnie, że aż chce mi się tańczyć”, ale taką, jak wtedy, gdy ktoś mówi, że w przyszłości zmotanie strażakiem albo astronautą, albo zaprzysiężonym rewidentem księgowym, który pracuje do późna weekend w weekend, podczas gdy jego żona bzyka się z kierowcą ciężarówki DHL-u. to zaczęło brzmieć prawdopodobnie, na zasadzie: „Może kiedy dorosnę, będę martwy”.

Moje życie było jak tort, który wyglądał dobrze na półce w cukierni, ale smakował jak solone trociny, kiedy próbowało się go zjeść.

Wyglądałem dobrze, kiedy śpiewałem. Koniec.

Potrzeba było „NARKOTIKI”, żeby samobójstwo stało się dla mnie celem. Nagrodą za świadczone usługi. W momencie, kiedy ludzie w Rosji, Japonii i Iowa wiedzieli już, jak wymawiać nazwę „NARKOTIKA”, wszystko miało dla mnie znaczenie i nic go nie miało, a ja byłem zmęczony próbami pojęcia, jak to możliwe, że oba te stwierdzenia są jednocześnie prawdziwe. Byłem wysypką, którą rozdrapywałem aż do krwi. Próbowałem robić to, co niemożliwe, tylko po to, żeby ostatecznie przekonać się, że to „niemożliwe” żyje we mnie. Samobójstwo stało się datą ważności, dniem, po którym nie będę już musiał dłużej się starać.

Sądziłem, że przyjechałem do Minnesoty właśnie po to, żeby umrzeć.

O drugiej piętnaście po południu w audycji Ricka Vilkaśa właśnie skończyła się pierwsza przerwa na reklamy. Vilkaś był muzycznym bogiem, który ściągnął nas do studia, żebyśmy zagrali na żywo w jego programie, a potem poprosił mnie, żebym podpisał plakat dla jego żony, o której mówił, że chce się kochać tylko przy naszej piosence „Sinking Ship (Going Down)”. Więc napisałem: „Rozkołysz ten statek” pod swoim zdjęciem i dodałem autograf. Vilkaś był jak powiernik, najlepszy kumpel do piwa, który przekazuje sekrety niskim głosem, szturchając cię łokciem w bok.

Teraz jego głos płynący przez głośniki w salonie Becka brzmiał intymnie:

- Wszyscy, którzy słuchają tego programu, wiedzą... do licha, wszyscy, którzy słuchają radia, wiedzą, że Cole St. Clair, lider „NARKOTIKI” i cholernie dobry autor piosenek, zaginął jakieś, ile... dziesięć miesięcy...? prawie rok temu. Gdzieś tam. Och, wiem, wiem... mój producent przewraca oczami. Mów, co chcesz, Buddy, może i był totalnym popaprańcem, ale ten gość wiedział, jak skomponować piosenkę.

I oto usłyszałem swoje nazwisko w radio. Byłem pewien, że pojawiło się tam mnóstwo razy w minionym roku, ale byłem tego świadkiem po raz pierwszy od zniknięcia. Czekałem, aż coś poczuje – ukłucie żalu, poczucie winy, cierpienie – ale nie. „NARKOTIKA” była niczym eks-dziewczyna, której zdjęcie nie wywoływało już żadnych emocji.

Vilkas kontynuował:

- Cóż, wygląda na to, że mamy pewne nowe informacje i możemy przekazać je jako pierwsi. Cole St. Clair nie umarł, moi drodzy. Nie jest też przetrzymywany przez gang fanek ani przez moją żonę. Otrzymaliśmy oficjalne oświadczenie od jego agenta, zgodnie z którym Cole St. Clair miał powikłania zdrowotne związane z nadużywaniem narkotyków – wyobrażacie sobie, że lider zespołu o nazwie „NARKOTIKA” mógłby mieć problem z nadużywaniem nielegalnych substancji...? I że razem z kolegą z zespołu udał się na prywatne leczenie i odwyk poza krajem. Podobno wrócił już do Stanów, ale prosi, żeby zostawić go w spokoju, dopóki nie zastanowi się, co zrobić dalej ze swoim życiem. No i proszę, ludziska. Cole St. Clair. Żyje. Nie, nie, nie dziękujcie mi teraz. Podziękujcie mi później. Miejmy nadzieję, że znowu się zjedną i wyruszą w trasę. Uszczęśliwią tym moją żonę. Nie śpiesz się, Cole, jeśli nas słuchasz. Rock poczeka.

Vilkas puścił jedną z naszych piosenek. Wyłączyłem radio i potarłem usta dłonią. Nogi mi zdrętwiały od kucania przed więżą.

Sześć miesięcy temu nie byłoby niczego gorszego na tym świecie. Wtedy pragnąłem tylko tego, żeby ludzie myśleli, iż zaginąłem lub jestem martwy. Bardziej pragnąłem chyba tylko śmierci.

Isabel siedząca na kanapie za mną powiedziała:

- A więc oficjalnie się odrodziłeś.

Z powrotem włączyłem radio, żeby złapać końcówkę piosenki. Spojrzałem na wnętrze dłoni leżącej na moim kolanie i poczułem, jakby spoczywał na nim cały świat. Poczułem się tak, jakbym wyszedł z więzienia. Po raz pierwszy w życiu poczułem ukojenie.

- Tak – przyznałem jej rację. – Na to wygląda.